

## **Jak donieść na siebie**

Zobowiązanie do zachowania w tajemnicy faktu współpracy z komunistycznymi służbami bezpieczeństwa wiązało tylko jedną stronę: agenta, donosiciela, „TW”. Osobne zobowiązanie do zachowania tajemnicy podpisywał funkcjonariusz SB z chwilą podjęcia służby w resorcie. Trzeba przyznać, że w olbrzymiej większości obie strony, a więc funkcjonariusze prowadzący i ich agenci, przestrzegają do dziś zasady utrzymania w tajemnicy szczegółów nawiązanej współpracy. Wspólnota podłej przeszłości potrafi jak widać przetrwać lata. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego, skoro z upływem czasu jeszcze silniejsza wspólnota losu potrafi zawiązać się między katem, a ofiarą. Mam na myśli tę sytuację, w której jedna z najbardziej znanych w Polsce i świecie ofiar systemu komunistycznego nazywa szefa wszystkich komunistycznych oprawców „człowiekiem honoru”. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że zdekonspirowany w mediach były tajny współpracownik SB w pierwszej kolejności zaprzecza swojej współpracy z komunistycznymi służbami. Przyciskany do muru potwierdza fakt jakichś spotkań z oficerem prowadzącym, z tym jednak zastrzeżeniem, że nie wiązały się z żadnymi zobowiązaniami. Kontakty były, ale rutynowe, typowe dla tamtego ustroju, a więc związane z koniecznością uzyskania paszportu czy oddania tegoż paszportu po powrocie na komendzie w MO. W zetknięciu z dokumentami, donosami czy własnoręcznie podpisanym zobowiązaniem do współpracy z SB albo pokwitowaniem odbioru pieniędzy, były tajny agent najczęściej twierdzi, że

to fałszywki albo, że nic nie pamięta. Klasykiem takiej postawy jest Lech Wałęsa, który wielokrotnie potwierdzał, że „podpisał jakieś świstki”, ale nigdy nie powiedział, co konkretnie. W tym miejscu należałoby, zgodnie z obowiązującym w naszym społeczeństwie antylustracyjnym duchem czasu, zapytać: „zresztą, czy to dziś ważne?”.

Lekceważenie i deprecjonowanie faktu współpracy z SB stało się w Polsce specyficzną „wartością”. Można się nawet dziwić, dlaczego kolaboracja z tajnymi komunistycznymi służbami nie stała się jeszcze powodem do szacunku i uznania. Z pewnością byłoby tak, gdyby większość „TW” postąpiła jak Andrzej Olechowski, który bez żadnych oporów przyznał się do swoich kontaktów z wywiadem PRL. Część elit III RP doceniła to jego poświęcenie, a raczej tę jego odwagę. Środowisko to od lat przekonuje siebie, że nie każdy w PRL-u mógł być agentem. Trzeba było się czymś zasłużyć, wykazać. Dlatego dziś to zazdrość i zawiść zaślepia zakompleksionych lustratorów, którym SB nie dała szansy poznania świata, nauczania się języków, zdobycia nowych przyjaciół za „żelazną kurtyną” i zarobienia trochę grosza. Część „elyt” wyznanie Olechowskiego uznała za zupełnie niepotrzebną ekspiację. Wszyscy jednak o współpracy Olechowskiego z wywiadem PRL-u starali się raczej nie mówić. Temat został zamknięty, a obiekt zainteresowania zyskał to, co najważniejsze, medialny spokój.

Niestety, większość ujawnionych byłych „TW” idzie w zaparte do końca. Dociskana pytaniami walczy o swoją niewinność tak

długo, jak to jest możliwe. Jeżeli sprawa trafia do sądu, to ciągnie się aż do wyczerpania prawnej, bardzo długiej drogi, która ma też swoje dobre strony, bo daje długie okresy poczucia spokoju i stabilizacji. Szok po ujawnieniu niechlubnej przeszłości ustępuje zimnej kalkulacji, że nie wszystko jeszcze stracone. Dróg wyjścia z opresji jest dziś coraz więcej. Można było przecież współpracować z SB, ale nikomu nie szkodzić. Można było tylko udawać współpracę, która była przez to zupełnie bezużyteczna, a więc nie miała faktycznie miejsca. Albo pójść przetartą przez innych drogą, że wszystko, co zgromadzono o nas w archiwach, było sfałszowane przez oficerów prowadzących, chcących się w ten sposób wykazać przed zwierzchnikami i otrzymać premię za gorliwość. Skuteczna to droga i wcale nie najtrudniejsza. Majstersztyk w wykazaniu własnej niewinności polega na namówieniu byłych esbeków do złożenia oświadczenia, że przez całe lata, od początku do końca, bez naszej wiedzy i zgody, wymyślili sobie tajnego agenta, że stworzyli, dziś byśmy powiedzieli, wirtualnego donosiciela „TW”, w którym o zgrozo, media dopatrzyły się podobieństw z naszą, skromną, niewinną, osobą. Wówczas istnieje duża szansa na zmianę ról. Z oprawcy, donosiciela, agenta można stać się ofiarą systemu, a nawet wzbudzić empatię. Oczywiście do czasu, gdy namówiony do takiej roli agent nie zechce ponownie przypomnieć o swoim istnieniu i prawdziwych „dokonaniach” konfidenta, którego prowadził. Z pewnością odebranie esbekom części uposażenia

uznanego za „przywileje” oraz nadciągający kryzys gospodarczy wyzwoli dalsze tego typu „roszczeniowe” postawy.

Czasami jednak były agent jest tak zadufany w sobie, że kręci bicz na samego siebie. Historyk dr Sławomir Cenckiewicz tak tłumaczy w wywiadzie dla „Najwyższego Czasu” zainteresowanie się przeszłością abp. Józefa Życińskiego: „Życińskim zainteresowałem się, ponieważ bardzo brutalnie mnie atakował. Do tego stopnia, że w trakcie procesji Bożego Ciała, podczas uroczystości, abp Życiński zamiast o Eucharystii mówił o historykach, którzy próbują zniszczyć Wałęsę. W innym miejscu powiedział coś nieprawdopodobnego, czyli to, że dzieci i wnuki Gontarczyka i Cenckiewicza będą wstydzili się swoich nazwisk. Zastanawiałem się, jak duszpasterz i biskup może mówić takie słowa. Zaintrygowało mnie to, że arcybiskup zaczął coraz dobitniej podkreślać, że istnieli fikcyjni agenci, że zapiski SB nic nie znaczą. Pomyślałem wtedy: czy on przypadkiem nie mówi o sobie. No i tak się po prostu stało.”

Abp Józef Życiński, zagorzały przeciwnik lustracji, przez 13 lat (1977–1990) funkcjonował jako TW „Filozof”.

### **Wojciech Reszczyński**

„Nasza Polska” 25.11.08

Autor jest wicedyrektorem Informacyjnej Agencji Radiowej PR